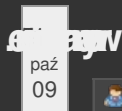




# 160000minutos

kim jesteśmy



Przez 160000minutos 2 Komentarze  
Kategorie: Ameryka Południowa, Peru i Podroz

Juz prawie miesiac w Europie, co niby taka poukladana jest. Powrocilismy. Cali i chyba zdrowi. Planowo i zaczynamy dzialac coraz sprawniej.

Sa tez przykre informacje, gdyz Krzysku utracil swoj sprzet fotograficzny, ktory to zostal skradziony nie wiadomo jak gdzie, w kazdym razie na trasie Ica-Lima w autokarze przedsiebiorstwa Flores. Siedzielismy sobie cichutko ogladajac filmy z Denzelem Washingtonem, podczas gdy plecak wraz ze sprzetem spoczywal jak zwykle na gornej polce. Tlok w autobusie stwarzali sprzedawcy orzeszkow i prazonego tluszczu, ktorzy to swe produkty wieszaja na skraju polek. I przesuwaja, chyba wraz z bagazami pasazerow. I tak tez zostal oporzniiony Krzyskowy plecak (2 aparaty plus obiektywy). I lzy w oczach, gdy doszlo do odkrycia.

Udalo sie nam uzyskac od przedsiebiorstwa przewozowego Flores liste pasazerow (poziom adrenaliny kazal mi do pani za biurkiem mowic po polsku), z ktora udalismy sie na pobliski posterunek policji. Tam zostalismy wprowadzeni do ogolnego pomieszczenia przesluchan, gdzie mielismy szanse uslyszec zeznania zakutego zlodzieja z hardkorowa wersja lima pod okiem. Gdy juz nadeszla nasza kolej, pan policjant wpisal zeznania do zeszytu formatu A4 i poinformowal nas, ze listy pasazerow weryfikowac nie bedzie, gdyz wielce prawdopodobne jest, jakoby falszywe dane zostaly podane.

To samo zeznanie zlozyliśmy tez na policji turystycznej, ktora podeszla troche profesjonalniej do calej sprawy i Krzysku otrzymal kopie zeznan (do ubezpieczenia) i porade, gdzie paserzy dokonuja dystrybucji kradzionego sprzetu. Spedzilismy tam caly dzien i dzika piana kapala nam z pyskow, gdyz sprzedaz kradzionych aparatow i teleobiektywow jest na porzadku dziennym. Maniocze wykorzystal swoj spryt i jest teraz w posiadaniu jednego z ukradzionych aparatow. Jak do tego doszlo? A, to juz material na film sensacyjny...

Pozegnalismy Lime podreczna piersioweczka peruwianskiego rumu i rano wraz z bagazami, w tym strzalami, lukiem i 3 dzidami zapakowanymi w czarna rure o wysokosci prawie 2 m. Na lotnisku nie bylo zadnej kompetentnej osoby, ktora moglaby nam udzielic informacji, czy piora na strzalach lub drewno, z ktorego wykonana jest owa *artesanía* nie pociagna za soba jakiegos aresztowania tudziez kary pienieznej. Wiec nadalismy bagaz, wlezlismy do samolotu i poczelismy czekac na kolejna przygode, ktora nastapila podczas miedzyladowania w Caracas. Mianowicie tuz przed odprawa z glosnikow dal sie slyszec glos wzywajacy Maniocze do stawienia sie jak najpredzej w niewiadomym celu. Odizolowano go od reszty pasazerow i kazano czekac na szczegolowa kontrole bagazu. Czyzby orle piora mialy zaprowadzic go do wiezienia? A moze ktos do niezabezpieczonego klodka ni zewnetrzna torba plecaka wrzucil kokaine?

Kilku olbrzymich panow i panie celniczki przejelý Krzysztofa M. i wprowadzily go pod lotnisko, gdzie rozbebeszyli wspólnie misternie zapakowany plecak. Podejrzenie wzbudzila butelka wypelniona *nene*, czyli indianska tabaka. Wykonano testy na zakazane substancje, poprzekluwano torebki z kawa i herbata i po 40 minutach wypuszczono spoconego jak szczura podejrzanego na wolnosc.

Reszta podrozy uplynela spokojnie i miło (filmy i drinki). Irlandia przywitála nas widmem bezrobocia i pierogami ulepionymi przez Agnieszke – siostry Maniochy.

Teraz wrocilismy juz do normalnoscí. I snimy o kolejnej wyprawie rzecz jasna.

aw i h c r a

Październik 2009  
Wrzesień 2009  
Sierpień 2009  
Lipiec 2009  
Czerwiec 2009  
Maj 2009

j a n

P	W	Ś	C	P	S	N
					1	2
3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23
24	25	26	27	28	29	30
31						

« paź

o r g o l b

Amazon Explorer – czyli kto Wam może pomóc  
Krzysku w internecie

ynor t s

Kim jesteśmy

j a n

P	W	Ś	C	P	S	N
					1	2
3	4	5	6	7	8	9
10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23
24	25	26	27	28	29	30
31						

« paź

aw i h c r a

Październik 2009  
Wrzesień 2009  
Sierpień 2009  
Lipiec 2009  
Czerwiec 2009  
Maj 2009

a t a n

Zarejestruj się  
Zaloguj się  
Kanał RSS z wpisami  
Kanał RSS z komentarzami  
WordPress.com



at ych nlay

wrz  
09



Przez 160000minutos Dodaj komentarz



Kategorie: Ameryka Południowa, Boliwia, Chile, Photography i Podroz



Tags: Arica, gejzer, Krzysztof Maniocha photography, La Paz, Oruro, salar Uyuni

Boliwia zaczyna roztaczac przed nami swoje uroki i drogi w fatalnym stanie, jesli juz sa kryte asfaltem (25% ma takie udogodnienia). Jedziemy do najwyzej polozonej stolicy swiata, czyli do La Paz. La Paz to jeden wielki korek uliczny, osnuty spalinami. Hostele w tej "taniej" Boliwii drozsze niz w jakimkolwiek miejscu w Peru, ale za namowa napotkanej turystki udajemy sie do zachwalanego przez Lonely Planet hostelu Loki. Pod prysznicem goraca woda, wygodne wyra, czysto, Internet, sniadanie w cenie. Czego chciec wiecej?

Wreszcie sie wysypiamy, ale postanawiamy zostac dzien dluzej, i przed 10 rano, zgodnie z uzyskana informacja potwierdzamy to na recepcji. Jednak na recepcji dowiadujemy sie, ze na nasz pokoj pojawila sie rezerwacja. Oczywiscie nie dajemy za wygrana! Gdy juz wywalczamy kolejna dobe udajemy sie na hostelowy Internet. Najpierw czekamy w kolejce i sluchamy, jak brytyjska nastolatka kloci sie na caly glos przez skype ze swoim chlopцем. Jak dopadamy sie do komputerow to wyskakują nam wirusy, albo gasna monitory, tak, ze informacji z kraju nie mozemy przeczytac porzadnie. Jednak innym mieszkancom hostelu to nie przeszkadza. Gdyz oni maja swoj portal społecznościowy, na którym spedzaja swoje wakacje w Ameryce Południowej – wszyscy, ale to absolutnie wszyscy siedza na Facebooku i przekrzykują sie od komputerow: "ADD ME AS A FRIEND !". Niewiarygodne! Poza tym w całym hostelu ani jednego zdania po hiszpańsku, wsztyko po angielsku! W barze serwują Guinnessa. Oto Boliwia dla anglojezycznego turysty.

La Paz jest glosne i pagorkowate. Dyszymy na podejsciach i na widok kanapek z *chorizo* (lokalne kielbasy). Nasluchalismy sie troche o tym, jakie to pyszne sa steki z alpaki, a tu co budka to wszystko przygotowane bez uzcia soli i pieprzu. Pozniej pozywienie to zaowocauje nowym rzutem robakow w jelitach. Dla mnie to pierwszy raz, bo ani woda z rzeki, ani ryby z wnetrznosciami, ani mieso z kapibary zarobione na al dente, nie przyniosly mi takich przyjaciol.

W Boliwii mamy misje, aby pojechac na wycieczke po pustyni, zobaczyc najwiekszy salar na naszej planecie, wiec powoli udajemy sie na poludnie. Najpierw jedziemy do Oruro, gdzie w kazdej knajpie serwują kurozaka z frytkami i ryzem, co chyba ma byc ekwiwalentem surowki. Na lokalnym targu cuchnie psujacym sie miesem, babcie przy uzcium krzyza i kart tarota zagladaja w przyszlosc. Wyruszamy wiec pociagiem o mylajacej nazwie *Expres del sur* do Uyuni. W Uyuni o polnocy atakują nas naganiacze. Idziemy spac, a rano zamawiamy sniadanie, ktore okazuje sie byc sokiem z kartonu (50% zawartosci kwasu askrobowego) i bulkami z zeszlego tygodnia. Ach Boliwio, czemu chcesz nas nakarmic tylko pizza za 40 pln?

Zoladki zaczynaja zyc własnym zyciem, a my przeciez musimy znalezc wycieczke na Salar Uyuni. Poznajemy 2 niemieckie dziewczeta i nastepnego dnia razem z nimi i jeszcze 2 pasazerami, kierowca i pania kucharka wyruszamy na wycieczke. Zaczynamy od cmentarza pociagow, gdzie z calej Boliwii trafialy sfatygowane maszyny parowe. Ladne toto, ale zaczyna rzucac pustynnym piachem, wiec napredce ladujemy sie do jeepa. Potem mkniemy na salar, gdzie wszystko jest biale i slone, a sol peka na ksztalt latek pilki do gry w noge. Sprawdzaja sie 2 pary spodni zalozone jedne na drugie. Potem objazdowka na wyspe porosnieta olbrzymimi kaktusami i pierwszy normalny posilek w Boliwii (dziekujemy Ci Alicjo). Krazymy jeszcze troche po pustyni, podziwiamy biegajace dookola mieso wikunii, ktorych zastrzelenie moze zaowocowac 5 latami wiezienia. Pierwsza noc spedzamy w *alojamento* zbudowanym z soli, myjemy sie w wodzie podgrzewanej bateria sloneczna. Chlopcy z Nowej Zelandii i Australi, czyli z Oceanii puszcza anglojezyczna muzyke,

dziewczyny z Niemiec kometują, ale to zabawne, wszyscy mamy iPod-y. Hahaha.

Następnego dnia kontynuacja. Widoki zapierają dech w naszych wychudzonych piersiach: kolorowe laguny pełne flamingów, gorące gejzery tryskające siarką (na wysokości 5000 m n.p.m. – poruszamy się ocieźale jak wrzuceni do gara z kisielą), gorące źródła na środku pustyni. Cieszy nas ta wycieczka, jest wspaniale zorganizowana, pożywienie jest smaczne. Jednak drugi nocleg z temperaturą 7 stopni Celsjusza w dormitorium jest przesada. 3 spiwory, 2 koldry, koc a i tak nie możemy zmrozić oka. Następnego dnia jedziemy odwiedzić naszych towarzyszy do granicy z Chile, która znajduje się na pustyni (w Boliwii widzimy chyba tylko pustynię). Potem zaczynamy załadować, że i my nie wyskakujemy na tym przystanku. Ale co się odwleczę to nie ucieczę...

Kierowca pedzi po kamieniach i ogólnie pojeździej pustyni, 2 razy łapiemy gumę, wymiana kół zajmuje 2 minuty. Nasz kierowca to zuch chłopak. Pożnym popołudniem jesteśmy z powrotem w Uyuni, skąd o północy odchodzi osławiony "ekspres" do Oruro. Bilety zakupił nam pan z agencji, gdyż nam się to nie udało (pan sprzedawca biletów przybył 15 min później od planowanego otwarcia kasy, usiadł na krześle, poprawił rekawy, pogrzebał w szafce, włączył radio, poprawił się na krześle, w tym czasie turystom z ust poszła pierwsza porcja piany, przyjął jednego petenta i wyszedł zza biurka; jako że zaraz mieliśmy jechać na wycieczkę, udaliśmy się za nim, do biura szefa stacji, gdzie uzyskaliśmy cenną informację – system sprzedaży biletów nie działa – druga porcja śliny z ust). Pociąg jest czysty, toalety lepszego gatunku niż te z PKP, jednak o ogrzewaniu nikt nie pomyślał. Krzysku zakłada dodatkową, trzecią już parę spodni, ja śpię w kurtce, czapce i rekawiczkach, przykrywamy się spiworem. Rankiem jesteśmy już w Oruro i dramatycznie chcemy wydostać się z Boliwii – tak dramatycznie, że nawet nie jemy śniadania, tylko wsiadamy w autobus do Chile. Na granicy dokładnie przeswietla nasze plecaki, bo produktów spożywczych wwozić nie można, a w moim plecaku liczne opakowanie yerba mate. Meźny Krzysztof M. bierze na siebie mój bagaż i pomaga panu celnikowi rozbebeszyć szmaty. Pan celnik dostrzega w jednym z opakowań zawartość jakże groźnego dla zdrowia i niebezpiecznego składnika, jakim jest aromat miodu, ale jakos udaje się nam przejechać.

W Chile ładujemy w mieście położonym najbliżej granicy z Peru – Arice. Brak slumsów na przedmieściach, wykoszona trawa, wysokie ceny. Taka Europa Ameryki Południowej. Na szczęście pożywienie na targu jest smaczne, ale jakos tak chcemy z powrotem do Peru. Więc tak czynimy, bo czas najbliższy zawiązać nam łoki i wracać do domu...

Trochę widoczków:















Przez 160000minutos Dodaj komentarz  
Kategorie: Ameryka Południowa, Boliwia, Peru, Photography i Podroz  
Tags: Copacabana, Isla del Sol, Krzysztof Maniocha photography

Natura, natura, natura. Czas poznać nam inne obszary Peru, bo to tak zróżnicowany kraj, że hej. Od nisko położonej, lecz nie płaskiej dżungli, po wysokie Andy. Postanawiamy skorzystać z tych urozmaiceń przyrody i wykupujemy busowy tour do Kanionu Colca. 4 godziny tłuczemy się busikiem po drogach, co oczywiście są w kształcie serpentyn. Po drodze laguny, pasące się symbole Peru, czyli lamy. Obok siedzi trochę puszysta Peruwianka, czyli tzw. *gordita*. Pochrupuje coś przez całą drogę, zaopatrzona jest w reklamówkę z bulkami. Jak się później okazuje ma całą, ręcznie spisana listę produktów żywnościowych z południa, które musi spróbować, co właśnie czyni nieprzerwanie. Tak docieramy do Chivay, gdzie agencja zabiera nas na gorące źródła – czas limitowany – 1 h. Masa turystów, nasza przewodniczka nas szuka, bo oczywiście nie wyrabiamy się z wygrzaniem zmarzniętych kości (zimno, zimno, coraz zimniej). Potem tzw. show dla turystów, czyli tańce ludowe, połączony z kolacją w drogiej knajpie, gdzie jedzenie nawet wygląda niesmacznie. Zamawiamy po drinku, a tam alkoholu brak. Więc nasze nowo poznane koleżanki z Limy, lekko podenerwowane brakiem smaku potrawy, która zamówiły, namawiają nas do złożenia reklamacji. Krzysku idź do baru z dwiema pustymi szklankami i informacją, że drink to raczej bezalkoholowy był. Dostajemy w ramach rekompensaty po kolejnym, tym razem procentowym. Nie wiem czy to by w Polsce zagrzało. Nieważne. Idziemy spać do hostelu, o którego rezerwację zadbała agencja. Zimno jak cholera, śpiemy pod 4 kocami, bo tu się pierzyn nie praktykuje. Obiecanej ciepłej wody nie ma, na śniadanie dostajemy po pustej w środku bułce i wyruszamy do Kanionu Colca. To drugi najgłębszy kanion na świecie, który jest 2 razy głębszy od jakże słynnego Kanionu Colorado. Bogaty jest też w akcenty polskie, gdyż jego pierwsze przeplyniecie zostało dokonane właśnie przez naszych rodaków. Wspaniale!

Sama droga zapiera dech w piersiach. Nie chodzi tu tylko o przepiękne widoki, ale o kierowcę, którego nie porusza brak asfaltu i pedzi co sił w silniku. Krzysku protestuje i trochę zwalniamy. Poza tym dostajemy irytacji, bo na punktach widokowych po 10 minut, ale w knajpach mamy spędzać po 3 h. O nie!

Po wycieczce powracamy do Arequipy, a następnie udajemy się do Puno leżącego nad Jeziorem Titikaka (znane z pływających wysp). Widok z góry na miasto przepiękny, ale w centrum to oprócz lokali gastronomicznych jest niewiele do zwiedzania. Im bliżej granicy z Boliwią, tym drożej (masa turystów ślepo podążająca za przewodnikami). My za radą polskich turystów jedziemy do taniej Boliwii. Na granicy pan celnik po stronie boliwijskiej odsyła nas do Peru –

przekroczyliśmy 3 miesiące (możemy w Peru jako turyści przebywać 6) i będziemy mieć problemy – grozi. Posłusznie drepczemy z powrotem do Peru, gdzie wbijają nam pieczątkę i informują, że jeszcze kilku dni do 3 miesięcy pobytu brakuje. Na granicy poznajemy dwie Estonki – Anu i Haidu (czy Haiku) i bierzemy takse do Copacabany, idziemy zjeść po pstragu i instalujemy się w hostelu z "hot showers", z których leci co najwyżej letnia woda.

Copacabana nie ma nic wspólnego z brazylijską plażą, wieczorami czapka na łeb i wełniane skarpety. W lokalnych restauracjach zupa z paczki i niedogotowane warzywa. Cena kawy przekracza ceny w naszej ojczyźnie.

Ale, ale 2-dniowa znajomość z Estonkami owocuje. Jedziemy razem na wycieczkę boliwijską taksa zobaczyć pływające wyspy (zbudowane specjalnie na potrzeby turystów, ale o tym w informacji turystycznej nie powiedzieli). Boliwijska taksówka polega na płaceniu od pasażera, dopóki się miejsce w bagażniku nie skończy (autka typu combi). Dogadujemy się z taksówkarzem na 12 boliwianów, by nas zawiózł do wysp, a ten się zatrzymuje na polnej drodze i każe sobie dopłacać. Wschodnioeuropejska agresja daje o sobie znać i walczymy do poty, dopóki nas nie zawozi w umówione miejsce.

Wreszcie czujemy jakąś więź z poznanymi po drodze ludźmi i możemy poruszyć więcej tematów, niż, że w Cuzco jest *nice*. Nasze nowe koleżanki też tęsknią za smalcem i kiszonym w reke. Wieczorami popijając rum wspominamy radzieckie wojska stacjonujące w naszych krajach i imitacje lalki Barbie, czyli Lize, której nie chciały się zginać nogi w kolanach (pamiętam jak tata zrobił mi z kartonika po niej lampion na rataty). Sentymentalnie nam.

Copacabana to miejsce wypadowe na Isla del Sol, więc wykupujemy wycieczkę. Wstajemy rano, konsumujemy śniadanie i idziemy na przystan. Pusto tak jakos. Okazuje się, że spozniliśmy się godzinę, gdyż nie zmieniliśmy czasu z peruwiańskiego na boliwijski. Ruszamy więc następnego dnia. Wyspa jest piękna. Pagórki i jeszcze raz pagórki, plaże i ruiny. Mamy trochę mało czasu jak na 4-h spacer na wysokości 4000 m n.p.m., gdyż głównie chadzimy i stekamy, a to dlatego, że tlenu w powietrzu niewiele, a trzeba się spieszyć z wędrowką na drugą stronę wyspy, z której mamy odpłynąć z powrotem do Copacabany. Poznajemy polskie misjonarki, jest okazja by trochę pogawędzić w ojczystym języku. Ledwie nadążamy na odpływ naszej łajby.

Wracając  
3  
sie  
09

Przez 160000minutos 3 Komentarze

Kategorie: Ameryka Południowa, Peru, Photography i Podroz

Punkt kulminacyjny wyprawy już minal i ciągle oswajamy się z tym, czego doświadczaliśmy w dżungli. Potrzebujemy jeszcze trochę czasu, ale są takie chwile, które były mile i nie miały nic wspólnego z czajacymi się pod wodą krokodylami. Odkryliśmy nowe smaki (w tym herbaty słodzonej cennymi cukierkami, Maniocze po jej wypiciu zwymiotował), nauczyliśmy się łowić ryby za pomocą żyłki i haczyka, w czym Krzysku okazał się mistrzem - dwie złowił za grzbiet wzbudzając podziw nawet u Indian. Udalo nam się zaprzyjaźnić z trzema dziewczynami z sąsiedztwa - pływaliśmy razem na ryby, potem je czyszciliśmy, jedliśmy, śpiewaliśmy – każdy po swojemu (furore zrobiły polskie koledy w moim wykonaniu). Jednak bliskość osiągnęła apogeum, gdy iskały mnie z wsi na centralnym placu wioski. Jednym słowem – było i miło. Raz na rybach zaczął się nam haczyk o jakieś podwodne chaszcze i sprytna lokalna dziewczuszka w ubraniu zanurkowała w brunatną rzekę ratując cenny sprzęt wędkarski. Nowe koleżanki były mi też chętne do pomocy przy praniu, które mnożyło się w sposób niemiłosierny przez okrutne warunki klimatyczne, powodujące wzmożone wydzielanie potu.

Takich chwil, które szczególnie zapadły nam w pamięć było wiele. Pamiętam, jak ciocia Patrycja w Ayushacku przyniosła nam po połowie pysznej, dojrzałej, soczystej papai z wbitym w środek łyżką. Wyobraźcie sobie, że od 3 tygodni nie opuszcza Was uczucie głodu, a tu nagle jak u babci na wakacjach, czyli totalne przejedzenie.

Innym razem, gdy Krzysku niefortunnie wbili sobie rybi kolec w palec, dziewczęta napędce zrobiły mu okład z rybich flaków (podobno pomaga też przygryzienie ogona), a łowiacy nieopodal chłopcy, chyba z łitości, obdarowali nas 4 dorodnymi sztukami.

Im bardziej patrzymy na wyprawę do Indian z dystansu, tym bardziej doceniamy wartość tego doświadczenia.

Po przygodach w dżungli nie mamy ochoty na przygodę:-). Chcemy ciastek i kawy, więc jedziemy do Arequipy, czyli do białego miasta Peru, otoczonego przez wulkany. Jest słodko. Ciastka są dobre, jest czysto, w hotelu kablówka. Trwa fiesta, wybieramy się więc na festiwal tańców ludowych, niby to krajów Ameryki Południowej, ale jest też polski akcent (2 zespoły z naszymi narodowymi tańcami). W porównaniu z powalającym na kolana tangiem argentyńskim, którego zadni uczestnicy *Tanca z gwiazdami* nie są w stanie skutecznie zaimitować, wypadamy trochę blado (brak pazura).

Poza tym miasto i okolice słyną z pikantnego zarcia (słynne *rocotto relleno*, czyli papryczki nadziewane miesem, warzywami i lokalnym serem). Dla mnie za ostre. No i najpiękniejszy targ jaki do tej pory widzieliśmy – z sokami, suszonymi zwierzętami do przyzywania duchów i uprawiania czarnej magii i zapachem ziół na stoiskach mięsnych. Czy to jest jeszcze Peru?

W międzyczasie doświadczamy bogatych objawów *soroche*, czyli choroby wysokościowej. Bola nas głowa, kreci się nam



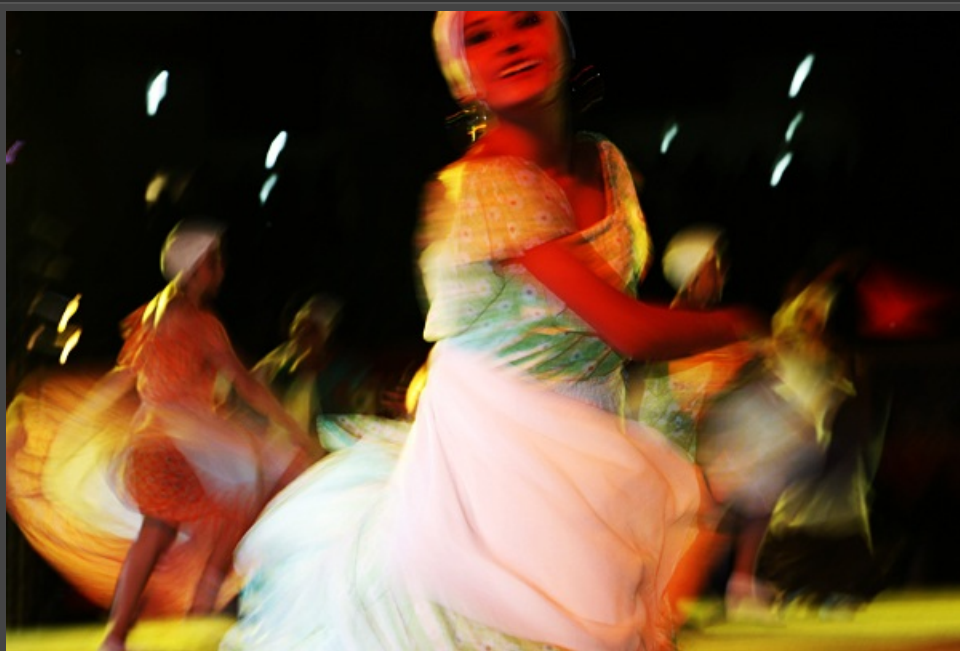
we łbach, nie możemy oddychać, z nosa cieknie krew (na tych wysokościach pękają naczynka krwionośne, bo to już prawie 4000 m npm).

Festidanza:









Przez 160000minutos [Dodaj komentarz](#)  
 Kategorie: Ameryka Południowa, Peru i Podroz  
 Tags: aligator, dzungla, kaiman, krokodyl, Matses, polowanie, waz

Ponizej relacja z kilku ostatnich dni spedzonych wsrod Indian. Krzysku wprawdzie zdazyl juz wyslac maila znajomym, ale nie wszyscy wiedza o naszych dramatycznych przygodach. A wiec oddaje glos Maniocze:

Jestesmy ciagle w dzungli i to juz maja byc cztery ostatnie dni. Przyplywamy do kolejnego pueblo, ktore zwie sie Cashispe. Jestesmy zmeczeni uzeraniem sie z Indianami o benzyne, ktora notorycznie kradna (chociaz Oni mysla ze pozyczaja... pewne roznice kulturowe sa nie do pokonania). Jestesmy zmeczeni tropikalnym upalem, ktory wysysa z nas energie oraz naszym przewodnikiem ktory in the end of the day bierze ostatnia czesc kasy i olewa nas rowno, jadac do Angamos na tydzien, chociaz nam mowi, ze jedzie na dwa dni. Generalnie jestesmy wykonczeni i podkurwieni. Mamy dosyc, chcemy jechac i zjesc kanapki z cebula.

A wiec przybywamy do Cashispe, kolejnej koloni Matzesow. W pueblo poznajemy Chaco. Chaco jest



sympatyczny wiec zagajamy o to i owo, pytamy sie miedzy innymi czy tu sa piranie i canero (to takie male rybki z hakiem na grzbiecie ktore czasem przez przypadek zamiast innej rybki to czlowiekowi wplyna do srodka i pozniej go od srodka wyzeraja). On mowi ze niewiele, ale nie mozna isc sie myc do rzeki w nocy, bo jest bardzo duzo kaimanow; kaimanow czyli krokodyli (aligatorow?).

Pokazuje nam skore jednego ponad poltorametrowego i mowi, ze wieczorkiem wyrusza na polowanie, bo tylko w nocy poluje sie na kaimany (swieci sie latarka po rzece, kaimanowi blyszczą oczy jak kotu, podplywa sie, wbija trojglowy harpun i wyciaga kaimana z wody, ot takie to proste). Wiec ja podekscytowany pytam, czy mozemy pojechac z nim na ow polow, on ze tak. Cudownie!

A wiec wypływamy za dwie godziny.

O umowionej godzinie spotykamy sie z Chaco, ja daje mu pol galona benzyny wczesniej wydartej po ostrej klotni z naszym przewodnikiem i plyniemy. Jest pelnia ksiezycy, a my plyniemy cichutko uzywajac tylko wiosla, zeby nie wystraszyc naszej ofiary. Plyniemy i plyniemy. Plyniemy i swiecimy. I nagle Jaslan krzyczy szeptem: JEEEST! TAM SIEDZI W KRZAKACH!

Ja nie widze nic, ale Chaco to potwierdza, zmienia kurs i zaczynamy plynac w poprzek rzeki. Ja dalej stoję na dziobie z harpunem chociaz nawet nie wiem gdzie takiego kaimana uderzyc trzeba.

I nagle! Nurt rzeki w tym miejscu jest duzo mocniejszy, a my skoncentrowani na aligatorze wpadamy na niewidoczne w nocy pale wystajace z wody. Indianska niewielka piroga przechyla sie i nabiera wody. W kilka sekund wszyscy ladujemy w wodzie trzymajac sie pali i jednocześnie lodzi, ktora wraz z ciezkim motorem juz jest cala pod woda. Stoimy w tej wodzie, Chaco nas uspokaja, ze tu tylko male sztuki plywaja, chociaz kilka minut wczesniej opowiadal o starej Indiance pozartej przez kaimana. Ale rozumiemy go, ta lodz i silnik to wszystko, co posiada.

A wiec trzymamy sie tych pali i staramy sie jak najszybciej wyciagnac lodz. Po kilku albo kilkunastu minutach udaje nam sie jakos tak usadowic, ze ja z Jaslan jestem z tylu lodzi. Ja stoję na palu i z wielkim wysilkiem udaje mi sie troche ponad powierzchnie wody wyciagnac motor i tyl lodzi. Bozenka siedzi troche wyzej i trzyma przedluzona turbine peke peke na ramieniu, a Chaco zapierajajac sie nogami o pal pod woda, wyciaga przod i wychlapuje reka wode. Akcja trwa w nieskonczonosc, a ja czuje, ze pal jest coraz bardziej sliski. W pewnym momencie traci rownowage i wpadam do wody. Wypływam na powierzchnie, Jaslan chce mi pomoc a ja czuje, ze prad rzeki jest zbyt silny i ze po prostu nie daje rady.

I teraz scena z Titanica: Ona wyciaga reke i krzyczy Krzysiu! A ja w pewnym momencie slabne i odpływam w tzw. piezdu.

Odpływam i juz mam obraz aligatora ktory podplywa do mnie i mnie pozera. Odwracam sie i widze jakies galezie wystajace z wody, wpadam na nie i tak zaczepiony tkwie po szyje w wodzie, a mysl o aligatorze ktory gdzies tu jest odsuwam jak natretna muche. Boje sie i modle sie. Modle sie i cala swoja uwage skupiam na modlitwie. Widze, ze Chaco dalej wychlapuje wode i ze za dwie lub trzy minuty razem beda w stanie wsiasc do lodzi. Dla mnie ten czas wydluza sie w nieskonczonosc. W koncu wsiadaja i wioslujac rekoma i jakims cudem uratowana maczeta podplywaja do mnie. Wchodze dziobem lodzi tak, zeby jej nie wywrocic i po kilku sekundach jestem uratowany.

Podplywamy do brzegu, Chaco wycina maczeta po palu dla naszej trojki tworzac jakby wiosla i tak wracamy do domu. Mokre paszporty i wszystkie pieniadze rozkladamy, zeby wyschly. Dluugo nie mozemy spac i modlimy sie goraco dziekujac Bogu, ze wszystko dobrze sie skonczylo.

Nastepnego dnia o swicie mamy isc z polowa wioski na polow ryb, gdzie uzywana jest trucizna po ktorej ryby zachowuja sie jak pijane i latwo je wyciagnac z wody. Chce to zobaczyc i sfotografowac. Widzialem juz polow ryb przy uzyciu barbasco, ale ta trucizna jest inna, ta nie zabija ryb. Bozenka nie czuje sie na najlepiej, boli ja glowa, prosze ja, zeby zostala i odpoczela po ostaniej nocy, ale ona nie chce i plyniemy razem. Dopływamy do czesci dzungli, gdzie rzeczki sa plytkie i trucizne mozna uzyc, wysiadamy z lodzi i z grupa jakis pietnastu czy dwudziestu osob idziemy przez las.

Idziemy i idziemy. Jaslan jeczy, ze ma zle przeczucia, a ja staram sie ja uspokoic, ze juz wszystko dobrze, ze obydwójce jesteśmy ciagle w szoku po tym co sie stalo niecale dwanascie godzin wczesniej.

I tak idziemy, ona w sandalach, ja w polbutach i krotkich spodenkach bo wszystkie ciuchy mokre a Indianie standardowo na bosaka. Kaloszy juz nie mamy, gdyz we wczesniejszej wiosce ja robie interes zycia zamieniajac swoje kalosze na naszyjnik z zebow malpy, a Bozenka z dobrego serca oddaje swoje Indianinowi z wbitym w stope kolcem.

Idziemy i idziemy. Idziemy w srodku grupy, bo najbezpieczniej. Idziemy bardzo waska drozka i pewnym momencie ostania osoba z grupy krzyczy: WAZ !

Jak sie okazuje wszyscy przeszliśmy obok ukrytego pod lisciem weza – dopiero ostatnia osoba go zauwazyla! Waz siedzi kilkanascie centymetrow od owej drozki i siedzi tak, ze od strony od ktorej przyszlismy nie mozna go bylo zauwazyc! Jak podchodze blizej, zeby to sfotografowac nie moge uwierzyc, ze waz ktorego jad zabija w kilka godzin i ktory, jak mowia miejscowi, nie nalezy do tych ktore uciekaja, ale raczej atakuja siedzi tak blisko drozki!

Jeden z mezczyzn bierze grubego draga i calej sily uderza weza. Wali jeszcze raz, a potem miazdzy mu glowe, zeby sie upewnic, ze ten nie zyje. Ludzie pozniej mowia, ze to cud ze nikt nie zginal, a my juz z coraz mniejsza ochota idziemy dalej w las.

Jaslan czuje sie coraz gorzej, ma goraczke i biegunkę z krwia, wiec tego samego dnia wyruszamy do Angamos i dzieki Bogu okazuje sie, ze nastepnego dnia w piatek jest lot do Iquitos.

Teraz tak sobie mysle siedzac w kafejce internetowej i patrzac na ta cala historie bardziej calosciowo, ze to wlasciwie jedyny raz podczas calego pobytu, kiedy reaguje dosc agresywnie i kaze sobie oddac cala benzynie, nawet ta z motoru. Pozniej ta benzynie daje cala Chacowi jak plyniemy na kaimany, ktory nawet ani razu jej nie uzywa, bo wpięprzamy sie do wody. Alejandro, syn naszego przewodnika, ktoremu wlasciwie zebalo sie za starego i z ktorego to motoru kaze sobie przelac benzynie, pozniej podobno w nocy plynie oswietlajac sobie droge latarka. Musi byc wsciekly i pewnie zyczy nam jak najgorzej, a ta benzyna nie sluzы nikomu tylko wywojuje splot zlej energii.

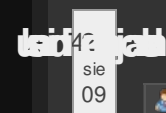
A moze to po prostu dzungla chce nam dac sie dobrze zapamietac dajac nam lekkiego klapsa (bo przeciez nie giniemy tylko zyjemy!) i pokazuje, ze nie jest kurortem wypoczynkowym w Hiszpanii, ale innym swiatem gdzie inne zasady obowiazuja.



K.M.


Zycie w Estirónie toczy sie powoli – od wschodu do zachodu slonca, ktory następuje okolo godziny 18 (trwa dokładnie 12godzin). Dogorywamy w hamakach i obserwujemy jak to zycie wyglada. Patrzymy na Daniela, ktory oprócz tego, ze jest *jefe* wioski tez glownie buja sie w hamaku. Gdy sie nie buja to organizuje *reunion*, czyli spotkania miejscowej ludnosci. Na poczatku naszego przyjazdu zostajemy zaproszeni na takie spotkanie – i tu popełniam pierwszy blad – siadam na laweczce gimnastycznej, zamiast na ziemi – razem z reszta kobiet i dziećmi. Gdyz miejsca honorowe sa tylko dla mezczyzn. Jesteśmy zmuszeni do powiedzenia kilku slow o sobie, rowniez w ojczystym jezyku, poniewaz mieszkancy chca nas po prostu uslyszec. Za drugim razem nie jest tak zle – na spotkaniu rozdzielane sa prezenty. Siedze na podlodze, a Patrycja chce mnie nauczyc miejscowego jezyka i lapie za piers tłumaczac – *shuma*, po czym, w obecnosci calej wioski, lapie za sutek i mowi *shuma debiate*, czyli w wolnym tłumaczeniu nos piersi. Powoli zaczynam sie przyzwyczajac, w koncu jesteśmy wsrod Indian.


Jest lipiec, pora sucha, czyli najmniej deszczowa. Mezczyzni przygotowuja nowe pola uprawne. Wszystko rozpoczyna sie od znalezienia w dzungli dobrej ziemi. Najpierw wszyscy mezczyzni z wioski jak jeden maz i jedna zona maczetami wycinaja krzaki i liany oplatajace drzewa. Ciezka to jest praca, a to dopiero poczatek bo czekaja na nich ogromne drzewa, pachnace, grube cedry. Wycinka najgrubszych drzew to praca grupowa. Zazwyczaj dwoch mezczyzn, przy pomocy siekier, pracuje, ostro pracuje. W tym samym czasie mlodzi chlopcy (i nie wiedziec czemu Daniel rowniez) nacinaja te ciensze – gdy te wielkie beda z hukiem spadaly, powala te mniejsze. A huk jest naprawde ogromny i poprzedzony nawolywaniem, ze robi sie niebezpiecznie i wszyscy zaczynaja uciekac, a potem juz tylko lamia sie drzewa i drzy ziemia. W tym samym czasie kobiety oczywiscie gotuja w swoim malym obozie w dzungli. Trudno to sobie wyobrazic, ale jeszcze kilkanascie lat temu, gdy Matsesi nie mieli siekier, pracowali przy pomocy ostrych kamieni i ognia nadpalajac drewno.

Kiedys w ogole bylo inaczej. Dzieci, ktore urodzily sie z wadami byly zabijane, spozywano tez szczatki zmarlych. Dzis juz sie tego nie praktykuje. Teraz Matsesi czerpia wzorce z miejsc cywilizowanych i maja wlasna odmiane demokracji. Polega to na tym, ze osoby, ktore ukonczily 18 rok zycia, w tym laskawie dopuszczane kobiety, glosuja na szefa wioski. Zazwyczaj jest to ktos z rodziny, preferencyjnie osoba poslugujaca sie sprawnie jezykiem hiszpanskim, co ulatwia kontakty ze swiatem zewnetrznym. Demokracja nie funkcjonuje jednak zbyt sprawnie, o czym mielismy okazje sie






 Przez 160000minutos  Dodaj komentarz


 Kategorie: Ameryka Poludniowa, Peru i Podroz

 Tags: dzungla, Indianie, Matses, selva

przekonać podróżując w przeciekającej *peke-peke* do Buenas Lomas Antigua. Daniel olał nas i pojechał do Angamos zostawiając z Alejandro i Miguelem, którzy zapomnieli połączyć przy pomocy radia z jedną wioską, co jest po drodze. I jak już płynęliśmy Miguel łaskawie poinformował nas, że istnieje prawdopodobieństwo, że nie zostaniemy przepuszczeni przez Buenas Lomas Nueva, ale jako że mamy kartkę z zezwoleniem od prezydenta Angela, to na pewno nie będzie problemów. Więc płyniemy tak z 10 h, zmieniając się przy wylewaniu wody z łodki, a tu pstro. Szef Buenas Lomas Nueva nie chce nawet z nami rozmawiać. Kiedy pokazujemy mu kartkę od Angela, twierdzi, że to falsyfikat i każe nam zawracać najpóźniej o 6 rano następnego dnia. Spojrzenia miejscowych też nie należą do najsympatyczniejszych. Później dowiadujemy się od Daniela, że szef ten, zachlysłnity władzą, powiedział, że jeśli jeszcze raz będziemy próbowali przedostać się przez Buenas Lomas Nueva, po prostu nas zabije. Milutko... Buc to jest nie lada, gdyż jakiś czas temu, gdy lekarze próbowali pomóc chorym dzieciom, nie zezwolił, by weszli na teren *pueblo*. Takie to skutki demokracji po indyjsku.

 Przez 160000minutos  2 Komentarze

 Kategorie: Ameryka Południowa, Peru i Podróż

 Tags: Matses, sapo

Matsesi nie mają dobrych używek. Oprócz *nene*, które daje wątpliwą przyjemność, używają *sapo*. Według ich wierzeń, substancja ta oczyszcza i napędza energię. Jak? Oto zagadka! W każdym razie używają go mężczyźni, którzy potrzebują siły, gdy idą na polowanie. A *sapo* im to siłę daje – dzięki niemu nie odczuwają głodu, zwiększa im się koncentracja i siła. Jeśli polowanie było nieudane, z pewnością wróca do obozu, by zaaplikować sobie tę cudną używkę. Kobiety i dzieci, którzy przejawiają oznaki lenistwa, również korzystają z tego dobrodziejstwa. Pieciolatek, który bierze *sapo*, nie wywołuje żadnej sensacji (patrz Persi). A używka to nie lada gradka, bo żeby ją otrzymać najpierw trzeba złapać wielką, zieloną a przede wszystkim trującą żabę. Płaz ten nie jest dotykany reką, gdyż kontakt z najmniejszym zadrapaniem na skórze może wywołać ostrą reakcję. Jaka? O tym już za chwilę.

W każdym razie żaba jest przywiązana za kończyny w pozycji horyzontalnej do palików wbitych w ziemię, czyli w grunt. Przy pomocy patyczka drażnione są wszelkie możliwe otwory w ciele biednego zwierzęcia. Powoduje to wydzielanie śluzu przez całą powierzchnię skóry, który zbierany jest na mikrolistewkę, a potem odstawiony na co najmniej miesiąc, by stracił trochę mocy. A odstane do łagodnych też nie należy.

A więc wstajemy o 6:30 zbudzeni przez telefon komórkowy z zaoszczędzoną baterią, żeby dać i godzinę od czasu do czasu moc sprawdzić. Szybkie siku i po sudej misce czapo, co ma na celu wypełnienie naszych pustych ostatnio żołądków, które i tak zaraz zostaną oprozniowane.

Wyglądam przez drzwi, a tu już wuj Cesar spływa na deszczułkę, by pobudzić cudowne właściwości zabiegu śluzu. Jeszcze dobrze oczu nie udało się nam przetrzeć, jeszcze mamy odgniecenia kocy na twarzach, a Daniel z tłaczami kawalkami drzewca zmierza w naszym kierunku. Krzys jak to Krzys, świeży film w aparacie i mocne postanowienie zdjęć robienia. A tu pstro, bo Cesar jako mężczyzna wywołuje go na pierwszy ogień. Wypala mu 4 kropki przy pomocy tłaczonego patyczka, zdziera zwęgloną skórę i nakłada w jej miejsce porcję trucizny. W tym czasie ja, jeszcze niczego nieswiadoma, robię zdjęcia. Krzys już wie, co to za miód i posłusznie wędruje na stołeczek ustawiony pod drzewkiem, czyli na stanowisko do wymiotowania. Po 3 porcjach *sapo* dołączam do niego z przekleństwem na ustach. Gdyż cała krew krąży w ciele, pcha się do głowy, powstają w skórze jakieś nowe pory, przez które przesacza się pot, po czym nadchodzi okrutne młosc. I wcale nie jest tak, jak w książce Pawlikowskiej, że ma się poczucie, jakby się frunęło, bo Krzysowi co najwyżej frunie do *el bano*, by oddać się wszechstronnemu wyproznieniu, w czym przeszkadzają mu moje portki, które go ciasno opinają (nieodrobiona kobieta nie nadaje się do prania). Ja tymczasem mam swój własny film na stołeczku, odcinek z cyklu *Czy już umieram?*, bo nadchodzi wyczekane wymioty zakończone pozbyciem się resztek złośliwego organizmu. Wszystko to odbywa się przy towarzyszeniu gitary i śmiechu rdzennej ludności, w tym mężczyzn i dzieci. Gdy Maniocze wynurza się z kibla, jego twarz jest pomnożona dwa razy i nie chce mi się wierzyć, że to ta sama osoba, która się tu pod nogami mi plątała jeszcze pół godziny temu. Myślałam, że to nie jest możliwe, aby jego nos był jeszcze większy, a tu okazuje się, że ma nieograniczone zdolności powiększania się. Z przerazeniem dotykam własnej twarzy, czy na miejscu aby jest. *Zerkam do lusterka, nie chce wierzyć, znowu zerkam*, a tu usta, jakby z silikonem świeżo po operacji plastycznej. Tacy odmienieni opadamy na wyro i pozbawieni energii vitalnej zapadamy w sen.

Jakos tak na białych ludzi *sapo* trochę inaczej podziało, bo potem nie chce nam głód przejść, ale za to następnego dnia jest trochę lepiej. Może cudowny efekt *zabiej zemsty* polega na tym, że człowiek pozbywa się robali z przewodu pokarmowego, które przecież nie pomagają mu dobrze funkcjonować (Krzys wie coś o tym). W każdym razie nasz Lucho ma też inne sztuczki, które przynoszą podobny efekt wymiotny – spożywa rosnące w dzungli rośliny. Ja w każdym razie dziękuję już za indyjskie używki...



Przez 160000minutos Dodaj komentarz  
 Kategorie: Ameryka Południowa, Peru i Podroz  
 Tags: dzungla, maloka, Matses, selva

W ciągu ostatnich 30 lat życie Indian Matses wiele się zmieniło. Niedługo kilka rodzin żyło w jednym domu, czyli w malocie (*shubu tsiqueeaid*). Razem jedli, pili, pracowali. Dziś model życia jest podobny, poza faktem, że poszczególne rodziny żyją w oddzielnych domach (*shubu*), a niektóre dzieci mieszkają same od 15 roku życia. Norma była też poligamia. Jednak nie wytniesz korzeni w ciągu kilkudziesięciu lat i wciąż można znaleźć mężczyzn, którzy żyją z więcej niż jedną kobietą. Przykładem jest Lucho, który ma 2 kobiety – każda z nich ma osobną kuchnię dobudowaną do izby mieszkalnej, a chłop jak to chłop – idzie to do jednej, to do drugiej, w zależności jak mu się zachce. Jedną z nich jest Marina – poprzednia kobieta naszego gospodarza. A więc dzieci Daniela z poprzedniego związku i dzieci Lucha z Marina są dla siebie jednocześnie rodzeństwem i kuzynostwem. Jeśli chodzi o dobor partnera życiowego, to zwykle rodzinę zakłada kuzynostwo z pierwszej linii.

W każdym razie kiedyś plemię cierpiało na zdecydowany brak kobiet, które mogłyby rodzić dzieci, dlatego wiele z nich porwano. Ojciec Daniela i Lucha – Manuel nie jest Indianinem z krwi i kości – jego matka została porwana, gdy była z nim w ciąży. Takich historii słyszy się naprawdę wiele. Nie mam pojęcia, jak to się udało, ale adaptacja porwanych kobiet i dzieci przebiegała nad wyraz pomyślnie. Płodność plemienia jest niesamowita. Sam Manuel ma 29 dzieci z 4 różnymi kobietami. I pewnie nie jest rekordzistą...

Nasłuchaliśmy i naczytaliśmy się o tradycyjnym życiu w Indian – czas spróbować tego miodu na własnej skorze. O siódmej rano pewnego pięknego poranka, spożywając po 1 płatnie wyruszamy do maloki, obozu zwanego *ayushaku*. To miejsce ukryte w dżungli, skąd wyrusza się na polowania. Daniel mówi, że na 3 dni i wysyła nas ze swoim bratem...

Nieważne to na razie, bo najpierw czeka nas spacer przez selwę, a raczej przeprawa, lub jeszcze inaczej – droga przez meke. Rozpoczyna się ostrym podejściem pod górę, po którym robi się nam sucho w ustach. Po godzinie mamy dość, bo dżungla naprawdę potrafi dokopać. I nie chodzi tu nawet o owady, których są tu miliony, ale o fakt, że w tych morderczych warunkach naprawdę musimy walczyć o każdy krok. Od czasu do czasu Lucho pociąga nas wodą z lian. I generalnie dba o nas bardzo – pomaga nam przejść przez rzeki i strumienie – ścina drzewa i montuje je potem na dnie rzeki, by podczas przepraw było się za co złapać. Oczywiście idzie na boso, porusza się cicho jak kot i jest szybszy od nas jakichś 5 razy (a ma 55 lat). Doprawdy wytrawny Indianin – w jednej ręce dzierży machete, którą wycina nam drogę, w drugiej strzelbę – oto cały jego bagaż. Idzie przed nami i ten obraz chyba najbardziej zapada mi w pamięć.

Przy podejściach nawet nie patrzę, ile jeszcze do szczytu – myślę tylko o tym jednym kroku, który właśnie robię, a potem koncentruję się na następnym. Nie rozmawiamy ze sobą – po prostu nie mamy siły. Krzysio zaczyna dokuczać bólem kolana i ciągnie swojego biednego kulasa za sobą. Szczególne problemy sprawia mu pokonywanie zwalonych drzew, ale nasz Lucho, czyli *maestro de todo*, zrywa leczniczych roślin i robi okład na Maniochowe kolano. Za bandaż służy mu palmowe liście. Wędrujemy dalej. Noga za nogą...

...aż spotykamy innych przybyszów z Estironu: Delicie, która jest w ciąży i jej matka. Delicia na jednym reku niesie jedno ze swoich dzieci, do głowy na pasku przymocowane ma garnki i inne dobra. Ona nie potrzebuje pomocy przy przejściu przez kładki, bo radzi sobie po prostu doskonale. Zatrzymujemy się na chwilę. Po dosłownie 5 minutach jej matka wraca z rybami na obiad. Jemy je w tradycyjnej formie – ugotowane ze wszystkim, co im natura do środka włożyła. Posileni i pogryzieni przez moskity, sankudos i mrowki ruszamy dalej. Ciało wraz z potem pozbywa się resztek płynów. Nasze ubrania można dosłownie wykrecić, po twarzy kapie strzykający pot. Plecaki waga chyba tonę.

Mokrzy i zmęczeni docieramy do maloki, gdzie instalujemy nasze superniewygodne hamaki z siatki na zakupy, jaka to Marysia z "Poszukiwany, poszukiwana" zabierała ze sobą, by cukru na bimber nabyc. Idziemy wykapać się do rzeki obfitującej w piranie. Zejdźcie do niej to wycznijcie na osobną opowieść. Resztę dnia jemy (w końcu papaja, chape – napój z dojrzałych platanów) i następuje zwis hamakowy. W nocy nie dajemy rady i spimy na klepsku i liściach palmowych pod naszą cudną moskitierą, która później zostanie wymieniona na pleciony hamak. Jest jak na obozie pod namiotem z tą różnicą, że dookoła słyszymy obcy język, w tle wyje mały Lincoln i przekrzykują się dzieciaki: Persi, Sediz, Fredi, Ugo, Prisilla i Perla. Potem jest czas na opowieści, kolysankę, a gdy gasnie ogień i pochodnia z lesnej żywicy, rozpoczyna się istny koncert, świadczący o tym, że wszyscy mają pełne brzuchy, czyli zbiorowe pierdzenie z matsetańskiego zwanym puszczeniem *cypisów*.

Rano zaledwie kilka minut po 6 budzi nas Lucho, bo już coś zdążył upolować i może Krzysiu zdjęcie będzie chciał zrobić. Nad rzeką wieczne odpoczywanie rozpoczęły 4 kajmany i kilka zab, czyli nasze śniadanie, po którym nasz mistrz zarzuca strzelbę i machete na ramię i łódka udaje się na polowanie (5 godzin wiosłowania dla wytrawnego Indianina – nam pewnie zajęłoby to z 15, zważywszy na fakt, że drogę do *Ayushaku* miejscowi przebywają maksymalnie w 3 h, my leżaliśmy 7).

Cały dzień schodzi nam na zabawę z dziećmi i zwisie w hamaku. Jest przeraźliwie gorąco. Dzieciaki są niesamowite. Bawią się razem, bez żadnych kłótni. Robią małe łuki i strzały i przy ich pomocy polują na koniki polne. Od najmłodszych lat uczą się sztuki przetrwania – przynoszą nam złapane przez siebie ptaki (w tym kolibra), szczury, jaszczurki i inne zwierzęta. Z kawałka drewna robią też byczki – wycinają dziurę, a do środka wkładają owada, który

zamknięty w środku wydaje swoje piękne dźwięki.

Poznym popołudniem wraca Lucho. Wszyscy pełni radości zbierają się, by zobaczyć co też upolował. Są 3 małpy!!! Na kolację dostajemy wiatrobkę – trochę zylasta, ale jaka zdrowa. Reszta mięsa jest wędzona – po powrocie do Estrirónu osoby, które pomagały przy wycince drzew pod nowe pole dla Lucha, zostaną poczęstowani potrawami przyrządzonymi z wędzonych małp i ryb.

Wieczorem, po tym jak kobiety oparowały małpy i wyrzuciły flaki do wody, przepełnieni strachem przed piraniami idziemy zacząć kąpiele. Za każdym razem, gdy wchodzimy do wody, w której żyją ryby z kolcami i piranie towarzyszy nam to uczucie. Miejscowi są już przyzwyczajeni, chociaż dzieciaki uciekają, jak nadpływa delfin rzeczny.

Po 3 dniach nicnierobienia mamy dość. Lucho nie chce wracać, musi jeszcze upolować trochę zwierząt i z takim zamiarem tu przybył na tydzień. Daniel też o tym wiedział, ale nic nie powiedział – wygląda na to, że zgrabnie chciał się nas pozbyć na tydzień. Wracamy więc z Miguelem. Krzysia znowu boli noga, ale i tak idzie się nam lepiej niż w tamtą stronę. Daniel nieco się dziwi na nasz powrót, ale cóż, nie ma wyboru – musi nas przyciągnąć.

bj



Przez 160000minutos Dodaj komentarz  
Kategorie: Ameryka Południowa, Peru, Photography i Podroz  
Tags: Amazonia, Estrirón, indyjskie zarcie, jedzenie, Matses

Pierwsze dni to walka z goracem dla nas obojga, a dla Krzysia walka z ostrą biegunką, co trwa nieprzerwanie 2 tygodnie, pomimo faktu, że łyka odpowiednie leki. Jest jak warzywo, a tych tu zdecydowanie brakuje. Jest za to juka i płatany. Po 3 dniach nie możemy patrzeć ani na jedno, ani na drugie. A zwłaszcza na jukę, która jest skrzyżowaniem białej pietruszki, selera i kartofla, ale przy tym nie posiada absolutnie żadnego smaku i wartości odżywczych. Już lepsza jest maka z juki, czyli *farina* - taki nasz substytut chipsów i innych produktów spożywczych, których tu nie uswiadcysz. Kolejnym ulubionym przez nas produktem żywnościowym jest woda z rzeki i zupa z ryb, która polega na wrzuceniu żywych lub martwych zwierząt z wnętrznościami i łuska do gara z wodą i ugotowaniu ich. Ach, pysznie... Poza tym nie ma tu zbyt wiele do jedzenia.

Zaczynam lubić *aguaje*, którym jeszcze tydzień wcześniej plułam w Iquitos. Szóstego dnia mam sen, że idziemy do knajpy o wymownej nazwie *white power* celem posilenia się. Zaczyna nam bić na łby z głodu i braku smaku. W wiosce odkrywamy drzewko limonkowe, niestety bez owoców, ale celem poprawienia smaku wody, dodajemy do niej jego liście.

Tęsknota za jakimkolwiek smakiem oprócz słonego jest ogromna. Rozmowy gastronomiczne od rana do wieczora. Marzymy, by nasze mamy ugotowały odpowiednio: ogórkowa Krzysiu, mi pierożki. Wieczorem Maniocze doznaje olśnienia i w jego porywie przypomina sobie o paczce żywnościowej skitanej w plecaku. Robimy ogórkowa z proszku – kwasu to to ma niewiele, ale dzieciaki, które próbują zupki i tak się krzywią i pluja ryżem dodanym dla zwiększenia objętości posiłku. Nas tymczasem ogarnia uczucie szczęścia. Krzysiu raczy się również rosółkiem ze świniobobra (*aniuche*), co potem dodajemy do potrawy z ryżu. Taka wołowina prawie.

Jednak Krzysia z biegunką kłopoty i nocne wyjścia do kopanego w ziemi *el bano* to nie wszystko. Gdy wyczerpuje on limit za nas oboje, lub też patrzeć na to z innej strony jesteśmy jak plus i minus, tudzież dzień i noc, co idealnie się uzupełniają. Mija 8 dni i nic, zero ruchu w jelitach. Wypijam butelkę syropu na niestrawność. Nic. W międzyczasie Krzysiu łyka ostatnie zapasy tabletek na biegunkę ze środkiem odkażającym flaki. Lucho, brat Daniela, zwany przez nas *maestro de todo*, gdyż zna się na wszystkim, przynosi mi z dżungli liście, które po zamoczeniu w wodzie stanowią okład na me obolale bebechy. Łażę tak cały dzień w roślinności owiniętej bandażami czekając na jakieś poruszające działanie medycyny naturalnej. Nic. Wieczorem idziemy na nieproszoną wizytę do Davida, który udaje się w 8-godzinna podróż do Angamos z intencją wysłania jednego maila. Może i więc kupiłby mnie jakieś skuteczniejsze środki, ale on ma w zanadrzu coś znacznie lepszego, coś co w 10 minut rozluźnia zbyt mocno zwarte mięśnie... Jest to tabaka, po tutejszemu zwana *nene*. Klasyczna droga podania jest wdychnięcie sporej ilości do nosa przez tubę. Mocne nawet dla tutejszych twardzieli płci męskiej, bo ten sposób zarezerwowany jest tylko dla mężczyzn. My próbujemy metody nr 2 – wysypujemy nakrętkę szarego proszku w kieszonkę między zębami a dolną wargą. Maniocze leć zaczyna cmieć, bo on wrażliwy wszakże jest, ja tymczasem czuję, że czas już opuścić towarzystwo. Dostaje zawrotów głowy niczym po kilku dobrych drinkach z utesknionej już wisnioweczki polskiej. Krzysiu służy mi pomocą i asekuruje w drodze do ekskluzywnej indyjskiej latryny. Cudowne właściwości *nene* dają o sobie znać. Jeszcze tylko mały paw pod drzewko i już mam pierwsze doświadczenie z indyjskimi używkami za sobą, których niestety będzie więcej... Ale o tym Drodzy Fani przeczytacie w późniejszych odcinkach.

Nadszedł ten wyczekany dzień.

Rano oczywiście nie dostajemy obiecanego telefonu z agencji pośredniczącej w sprzedaży biletów lotniczych na wojskowe samolociki latające do/z Angamos. W każdym razie lot mamy mieć o 9 rano. Przed 9 przychodzi Daniel i zaraz idzie poszukiwać Krzysia, który z kolei poszedł do Hectora. Gromadnie (Daniel, Dina – córka Daniela, Dunu – jej syn) udajemy się na tereny wojskowe. Przy kontroli dokumentów błyskawicznie pojawia się pan zajmujący się sprawami emigrantów i próbuje nam wmówić, że jako obywatele polscy na terenie Peru możemy przebywać tylko 3 mc, a nie jak wedle informacji ambasady tego kraju w Polsce – 6.

No nic. Wreszcie wsiadamy do samolotu, słońce już minęło zenit. A samolot, ach co to za maszyna jest. W środku składane siedzenia jak w minivanie, a całość utrzymana w konwencji klasycznego mikrobusa z hipisowskich czasów. Drzwi się nie domykają, z silnika przy starcie wydostają się kleby czarnego dymu utrudniające nam oddychanie. Ale słowo się rzekło i kobyłka u plotu, czyli dzungla i podwójne teczki pod nami.

Po 50 min ładujemy na polu, czyli na lotnisku w Angamos. Targamy bagaże i prezenty do chaty nad rzeką, która to składa się z drzwi, ścian, dachu, podłogi i paleniska. Możemy sobie gniazdko z kociów i moskitiery. Reszta dnia upływa nam na robieniu ostatnich zakupów z cyklu benzyna i cukier. Ceny w Angamos są zatrważające.

Zasypiamy po upale, który przewyższa ten w Iquitos. W nocy coś chrobocze, coś hałasuje. Uruchamiamy latarki a nad nami i dookoła naszego legowiska harcują w najlepsze szczury. Ale nie są to zwykłe szczury – są to szczury o słicznym białobrazowym futerku.

Następnego dnia o poranku idziemy do Angela, by zapłacić daninę za wjazd na tereny Matses. Dzięki temu mamy nie mieć problemów z poruszaniem się, a Krzys nie będzie musiał dodatkowo płacić za robienie zdjęć. To się jeszcze okaże... Potem w 7 osób plus bagaże instalujemy się w indyjskiej pirodze wspomaganą nowym, szybkim motorem typu peke-peke marki Honda. Mknijemy tak przez rzeki, mijamy 3 wioski i po 8 godzinach ładujemy w punkcie przeznaczenia, czyli w Estirón, który znajduje się jakieś 4 km od granicy z Brazylią. Na brzegu rzeki czeka cała wioska, dzieciaki dziczeją niczym rasowe dziki.

Dom Daniela jest uroczy i tak naprawdę składa się z 2 domków z indyjskich paneli, za dach służą palmowe liście. Jeden to kuchnia z paleniskiem, połączona z tzw. stołowym, gdzie zamiast wypoczynku zawieszono są ręcznie plecione hamaki, drugi to pomieszczenia mieszkalne. Dostajemy własny pokój! Ma łóżko z uniwersalnego materiału budowlanego, jakim są rzeczony panele i materac! Przez otwory okienne zaglądają zaciekawione małe oczka, co oznacza, że jesteśmy intensywnie obserwowani. I tak już zostanie.

*Pueblo* przypomina osrodek wczasowy, a nie indyjska wioska: na środku znajduje się boisko piłkarskie, na którym to miejscowi chłopcy po ciężkiej fizycznej pracy na *chacra*, czyli polu wieczorami, poubierani w profesjonalne stroje piłkarskie, jakich to że świecą szukać na polskich wioskach, oddają się swojej jedynej rozrywce – grze (jedynej, bo nie piją alkoholu, ani nie palą zioł ni tytoniu). Poza boiskiem do kopanej są 2 boiska do gry w siatkę, gdzie Indianki będące wysoko w ciąży utrzymują sprawność swoich ciał. Lekarz im nie odradza i nie kaze na siebie uważać, gdyż go nie ma. Jest za to mała apteka, w której można kupić podstawowe leki, a nasz gospodarz w domu ma sklep, z mydłem i majtkami.

[« Wcześniejsze wpisy](#)